

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2020 | NR 7 (31)

ESEJ IDEE

**Jak naprawić
debatę
publiczną?**

**Co się stało
z tygrysami
z reality
show?**

STUDIUM

**Kto kupuje
nasze śmieci?**

LITERATURA

**Patrycja Pustkowiak
Jarosław Mikołajewski**

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
07>



9 772544 502005



Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2020 | NR 7 (31)



Kup książkę

MAGAZYN OPINII Pismo.

LIPIEC 2020

OPOWIADANIE

Przesuń w prawo | 6
PATRYCJA PUSTKOWIAK

SEA-HKG | 94
DAVID SZALAY

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w lipcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 95
JANINA BĄK

POEZJA

Wierzchołek niedosięgly świętej góry Syzyf | II
JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Bądź czujny | 49
JULIAN KORNHAUSER

Góra wody | 79
BARBARA KLICKA

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Wędrowny Zakład Kultury** | 4
MARTA RYBICKA

FOTOREPORTAŻ **Jak zostać królową** | 34
JULIA ZABRODZKA

KOMIKS **Bez różnicy płci** | 70
BEATA SOSNOWSKA, AGNIESZKA GRZYBEK

ZARTY RYSUNKOWE
IGA CHMIELEWSKA

OKŁADKA **Znów będą wakacje**
PIOTR DEPTA-KLEŚTA

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Maski**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O debacie publicznej**
ZUZANNA KOWALCZYK

REPORTAŻ

12 | **Jagoda szuka rodziny**
ŁUKASZ PILIP rusza tropem ogłoszenia o dziecku szukającym domu

20 | **Gra w śmieci po szwedzku**
AGATA SKRZYPCZYK ogląda najlepszy system gospodarowania odpadami

50 | **Na wschodzie bez zmian**
ANNA MIKULSKA wraca na przejście graniczne w Brześciu

STUDIUM

26 | **Globalny rynek śmieci**
MAŁGORZATA WINKOWSKA tłumaczy, jak nasze odpady krążą po świecie

60 | **Do kogo należy rzeka?**
KAMILA KIELAR sprawdza, kto decyduje o tym, czy w rzekach będzie woda

ROZMOWA

82 | **Nie potrzebujemy social media**
z CHRISTIANEM DAVISEM rozmawia EWA DRYGAŁSKA

ESEJ

40 | **Mołdawia z huśtawką ustroju**
MIŁOSZ SZYMAŃSKI analizuje scenę polityczną kraju, z którym wiele nas łączy

54 | **Nędznicy karmią Francję**
LUDWIKA WŁODEK o niewidzialnych, których pandemia wydobyla z cienia

74 | **W świecie ansibla**
ALEK TARKOWSKI o tym, jak bardzo dziś potrzebna jest nam debata publiczna

88 | **Król tygrysów jest nagi**
URSZULA JABŁOŃSKA pyta o los i warunki życia zwierząt z parków rozrywki

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Szefowa Działu Idee:** Karolina Lewestam,
Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, **Redakcja:** Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felieton: Marcin Wicha, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utka, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa marketingu i sprzedaży: Kalina Wysznińska, **Promocja:** Ewa Salamon, **Fundraising:** Anna Linowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, **Prenumerata:** www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę


MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Maski

Zdarzyło się zimą. Marta załatwiała coś na Tamtym Brzegu. Była zmęczona, weszła do kawiarni przy Sejmie – Przy Sejmie? Zwariowałaś? – Było najbliżej. – Weszła, a tam siedział facet z czerwoną twarzą. Dookoła uwijał się tłumek pomagierów. Facet rzucał jakieś straszne teksty o Żydach i o wyborach. A potem zaczął się przechwalać, że właśnie kupił od Chińczyków cały kontener maseczek.

– Jak wyglądał? – zapytałem. – Jak polityk, taki mniej znany. – Poseł? – Raczej nie.

Z ciekawości spędziliśmy trochę czasu przy komputerze, wyszukując coraz bardziej ekscentryczne postaci polskiego życia publicznego – Może to ten? – Podobny, ale nie on. – A ten? – Podobny, ale nie. – Aż wreszcie przy którymś – O rany, to ten. TO TEN! Słowo daję.

Więc to tak? Kiedy my wykupywaliśmy drożdże. Kiedy wypatrywaliśmy kuriera z delikatesów online. Kiedy poznawaliśmy Zooma. Kiedy oglądaliśmy dziwaczne serie na Netfliksie. Kiedy z pomocą YouTube'a uczyliśmy się składać papierowy ręcznik, żeby uformować coś na kształt dzioba. Kiedy przerabialiśmy T-shirty na ochronne hidżaby. Kiedy wyrzekaliśmy na swój ciężki los. Kiedy zawstydziliśmy innych, że wyrzekają na swój ciężki los (uprzywilejowane bubki). Kiedy wyśmiewaliśmy nauczycieli z TVP. Kiedy występowaliśmy w obronie nauczycielek z TVP.

Kiedy my dryfowaliśmy na spotkanie przyszłości, poważni ludzie wchodzili w środki ochronne. Inwestowali w maski ze specjalnym filtrem i lewym certyfikatem. Prowadzili swoje karawany śladami Marco Polo.

To był ich czas. Czas instruktorów narciarskich, którym udało się otrzeć o wpływowy ortalion. Psich fryzjerów, którzy kiedyś wklepali szampon w ważnego yorka. To był czas kompanów od wysoko postawionego kieliszka. Kolegów od wędki. Znajomych od dwururki. Sodalistów od pobożnych bractw. Wielcy ludzie budowali początek pandemicznych oligarchii.

Ala przecież nawet my, niezdary, po obejrzeniu wszystkich seriali, dostrzeżliśmy w końcu okazję biznesową.

Pod koniec maja zadzwonił znajomy. Zamierzał rozkręcić produkcję ozdobnych maseczek z zabawnymi i podnoszącymi na duchu nadrukami. Potrzebował projektów. Z radością podjąłem się zadania i niezwłocznie przystąpiłem do pracy.

Zacząłem od klasycznego: „W tej masce nikt nie wie, że jestem psem”.

Obserwacje marketingowe na Facebooku wykazały, że psy nie działają. Przygotowałem wersję: „W tej masce nikt nie wie, że jestem kotem”. Potem „Jestem kotką”. To nie brzmiało postępowo.

Na wszelki wypadek dodałem nadruk treści: „Popieram feminatywy i feminatywki”.

Potem napisałem: „Kocham osoby”.

Na koniec wyznanie: „Nie boję się wirusa, tylko jestem nieśmiały”.

„Maski dla introwertyków” – wydały się obiecujące. Wystartowałem z serią romantyczną (kładąc nacisk na jakość produktu): „Między nami jest 100% bawelny”.

Dorzucałem propozycję figlarną: „W domu moja twarz hasa na golasa”.

Uderzyłem w wyższe tony: „Pod tą maską bywa twarz”.

Poszedłem za ciosem: „Pod tą maską bywa twarz prawdziwego Polaka”. Akurat ten segment rynku jest już zajęty, ale co szkodzi spróbować?

Nie zapomniałem o przedsiębiorcach. Przywaliłem bezkompromisowo: „Boso, ale na tarczy”.

W tym momencie olśniło mnie, żeby opracować uniwersalny wzór na demonstracje antyrządowe oraz imprezy towarzyskie. Z napisem „To nie ja”.

Dalej wszystko potoczyło się normalnie. Niedoszły fabrykant przestał odpowiadać na maile. Chyba się obraził. W sumie bez znaczenia, bo premier ogłosił Czwarty Etap Luzowania Obostrzeń. W swej łaskawości władze zniosły obowiązek zakrywania ust i nosa w miejscach publicznych. Okazja minęła.

Podobno maski należy jeszcze nosić w taksówkach. Może to jest pomysł: wsiąść do taksówki z napisem „Proszę ściszyć radio” na twarzy.

Albo: „Nie znam odpowiedzi”. W takiej sam mógłbym chodzić. Niezależnie od sytuacji epidemiologicznej.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W LIPCU:

Nowe kino francuskie i włoskie w warszawskim Muranowie

Między 8 a 15 lipca m.in. w Warszawie, Białymstoku, Olsztynie i Krakowie w ramach 11. edycji Przeglądu Nowego Kina Francuskiego obejrzymy najciekawsze francuskie filmy ostatnich lat. Zaraz potem, między 23 a 27 lipca warszawski Muranów zaprasza na włoską edycję filmową. W programie przeglądu Cinema Italia Oggi znajdziecie między innymi głośny i nagradzany obraz *Zdrajca* Marca Bellocchio oraz filmową adaptację kryminału Donato Carrisi *W labiryncie*.

WIĘCEJ: kinomuranow.pl



Festiwal Góry Literatury oraz Festiwal Reportażu w Krakowie

Letnie wydarzenia literackie, zgromadzone w ramach Koalicji Letnich Festiwali Literackich, odbędą się choć w odpowiednim reżimie sanitarnym. Festiwal Góry Literatury w Nowej Rudzie, Wałbrzychu i Ścinawce Górnej, zaplanowany między 10 a 19 lipca, to cykl kameralnych spotkań z literaturą na Włodzickich Wzgórzach pod kuratelą Olgi Tokarczuk. A Non-fiction. Festiwal reportażu w Krakowie, odbędzie się w dniach 3–5 lipca.

WIĘCEJ: festiwalnonfiction.pl
facebook.com/festiwalgoryliteratury



Polowanie na czarownice w BWA Warszawa

Wystawa w BWA Warszawa, zatytułowana *W czarodziejską burzę włożę własną duszę* mierzy się z tematem polowań na czarownice. Prace m.in. Zuzy Krajewskiej, Natalii LL, Karola Radziszewskiego czy Mikołaja Sobczaka, wskrzeszają motyw czarownicy, zawieszony pomiędzy wizją kobiecej niezależności a irracjonalności. Wystawa będzie otwarta do końca lipca.

WIĘCEJ: bwawarszawa.pl



Gdynia Design Days

W zmienionej formule, ale z niezmienionymi ambicjami, między 4 a 11 lipca zaprasza Gdynia Design Days. To wydarzenie – tym razem w wersji online – dla wszystkich entuzjastów odpowiedzialnego i zrównoważonego projektowania. W tym roku, obok stałych wątków związanych z nowymi technologiami, ekologią, wzornictwem, architekturą czy rozwojem miast, tematem wykładów, projekcji, dyskusji i warsztatów będzie uważność. Oprócz debat organizatorzy polecają warsztaty oraz interaktywny przewodnik po wystawach.

WIĘCEJ: gdyniadesigndays.eu



Kurdyjska scena artystyczna w Białymstoku

Przez cały lipiec mamy szansę lepiej poznać kurdyjską sztukę, odwiedzając wystawę *Niech poprzedza Cię płomień* w Galerii Arsenał elektrownia w Białymstoku. Składają się na nią instalacje multimedialne, prace rzeźbiarskie, rysunkowe i fotografie autorstwa artystów, należących do pokolenia trzydziesto- i czterdziestolatków.

WIĘCEJ: galeria-arsenal.pl

Kup książkę



[Kup książkę](#)

A man with glasses, wearing a dark blue jacket over a blue shirt and black trousers, stands in a blue bus stop. He is looking to his left. The bus stop has yellow seats and a curved roof. In the background, there is a yellow building with a dark roof and a green bush.

DOBRO WSPÓLNE

Wędrowni Zakład Kultury

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

Paweł Bajerlein, Ania Maciejewska i Patryk Piotr Antoniak w ramach Stowarzyszenia Krotchwile tworzą Wędrowni Zakład Kultury. Prowadzą warsztaty, na których opowiadają o odwiedzanym miejscu, a uczestniczące w zajęciach dzieci budują makiety swojej ulicy, odkrywają lecznicze właściwości roślin rosnących tuż za płotem, odtwarzają na scenie zapomniane, lokalne legendy. Wraz z mieszkańcami podpoznańskiego Kruteczka, w którym się właśnie spotkaliśmy, zebrali imponującą kolekcję przedwojennych rodzinnych fotografii. W całej Wielkopolsce odwiedzili ponad setkę wsi.

Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org

Kup książkę

Przesuń w prawo

tekst PATRYCJA PUSTKOWIAK

—
Moja żona wróciła w nocy. Nie chcę przesadzać, ale w burzy, która rozpętała się wtedy na zewnątrz, było coś apokaliptycznego; w zasadzie nie nazwałbym jej burzą, a klęską żywiołową. Za oknem trwało istne oberwanie chmury, to nie był deszcz, a uberdeszcz, naddeszcz; do tego grzmiało i błyskało, a coś ciężkiego i świszczącego przecinało powietrze, jakby ktoś grał w badmintona szatańskimi skrzydłami; obawiałem się, że gdy tylko wychylę się przez okno, dostanę jednym po głowie.

To była taka noc, kiedy z łatwością można by napisać powieść gotycką, ale ja, zamiast to robić, siedziałem w salonie, przyczajony w rogu jak nocny ptak wypatrujący ofiary i patrzyłem na swoją żonę. Właśnie weszła do mieszkania i krzątała się po przedpokoju, zdejmując z siebie kolejne rzeczy – płaszcz, szalik, czapkę. Robiła to tak precyzyjnie i z takim oddaniem, jakby tej nocy zapragnęła zdjąć z siebie wszystko. Zastanawiałem się, kiedy zrobi to z własną twarzą – zedrze ją i zawiesi obok, na kołku, a w jej dawnym miejscu zostaną tylko ściągna powiewające na wietrze jak stare pranie oraz gałki oczne – kulki od ruletki, które zamiast trafić do celu, będą gonić jak oszalałe po całej czaszce.

Zastanawiałem się, co by było, gdyby tak wyjątkowo się zaparała, pociągnęła za główny sznurek i ostatecznie ściągnęła z siebie

samą siebie, co by wtedy zostało. Co się znajduje pod nią samą, upchniętą w siebie jak w worek, tak ciasno, że nic nie wystaje na zewnątrz. Może i w samej sobie się mieściła, ale na pewno nie w naszym małżeństwie. Widziałem bowiem, jak wysypuje się z niego z każdym kolejnym rokiem, jakby było dla niej zbyt małą walizką.

Próbowałem to powstrzymać. Coś zrobić, upchnąć to wszystko do środka – ale nie dawałem rady. Ciągłe coś wystawało – a to jej niechęć do tego, jak wstawiam naczynia do zmywarki, zgrzytam zębami w nocy czy przebiegam przez sen nogami (nie żebym jej tego nie mówił, zespół niespokojnych nóg dostała ze mną w pakiecie), wreszcie jak szoruję zęby czy źle wyciskam pastę. Za bardzo od góry, jakbym kogoś dusił, mówiła. – Czy ty chcesz kogoś zabić? – pytała, mimowolnie wskazując na trudny do przecoczenia fakt, że poza nią w pobliżu nie było nikogo innego.

—
TAK, COŚ SIĘ Z NAMI DZIAŁO. Kiedy ostatnimi czasy patrzyłem na żonę, było bardziej tak, jakbym patrzył na odległy port, w którym obcy ludzie bawią się do upadłego, albo na umieszczone w cudzych domach choinki. Była piękna i kusząca, ale zupełnie nie moja. Co więcej, miałem wrażenie, że z każdym dniem jest jej dla mnie coraz mniej,

jakby była ciastem podjadanym w tajemnicy przez dzieci.

I tej nocy wróciła taka już nadjedzona, widziałem to wyraźnie, naga kość na policzku, noc żywych trupów. Może to rzeczywiście było Halloween, już nie pamiętam, pewnie mógłbym coś znaleźć w telefonie, jakąś notatkę pod #chaos-reins czy wrzuconego na fejsa gifa z lisem. Bardzo możliwe, że to było Halloween, bo potem jest dzień wolny, więc wszystko by się zgadzało – na lajcie mogła wyjść, a następnego dnia odespać mikrokaca i czekać, aż – jak zwykle – podam jej kawę do łóżka, formując serce z pianki, zupełnie nie zważając na to, że moje własne od pewnego czasu przypomina wyschnięte ptasie gówno albo nędzną, zgubioną lata temu pod łóżkiem rodzynekę.

—
SIDZIAŁEM DALEJ w salonie, patrzyłem na nią i chciałem krzyczeć. Chciałem wrzeszczeć i przebić jej skroń długopisem, a potem patrzeć, jak krew tryska po ścianach. Następnie chciałem sam się zabić drutami od parasola, położyć obok niej i objąć ją dziurawymi rękami, mały i słaby, ludzik z papieru. A potem przywrzeć do niej jak huba, załęgnać się w niej jak pasożyt, wyjątkowo wredny, taki, na którego nie ma lekarstwa, taki, którego nie możesz się pozbyć. W sumie tego właśnie zawsze pragnąłem

Kup książkę



– być częścią niej. Tylko wtedy osiągnąłbym spokój – gdybym wszedł do niej jak do dziupli i ułożył się tam do snu.

OBSERWOWAŁEM JĄ – kiedy ściągnęła czapkę, miałem wrażenie, że jej nadjedzone ucho dynda na wątlej, bladej nitce ciała jak muszelka na sznureczku, a włosy – wytargane, wytarte o mokre, jesienne liście, o czyjeś tłuste dłonie, przyklejają się do twarzy.

– Jak było? – zapytałem wreszcie, kiedy już mogłem wydobyć głos z gardła. Miałem zresztą wrażenie, że ten głos nie należał do mnie, a do jakiegoś operowego kastrata, tak był piskliwy.

Dostrzegła mnie wreszcie, siedzącego w rogu pokoju, tak że przypominałem chyba jakąś jebaną marmurową figurkę przypniętą na biurku, w gabinecie któregoś z wielkich przywódców. Z tym że we mnie nie było żadnej chwały. Nie byłem pomnikiem triumfu, a przegranych. *Gloria victis* – próbowałem szeptać, kiedy wyobrażałem sobie całe miasto, które na niej przysiadło, złożyło w niej jaja, z których niedługo wyłęgą się lepkie larwy. Dłonie innych mężczyzn, które mogły jej dotykać; zaczęło mi się nagle wydawać, że jest pokryta ich śladami jak pieczętkami – pewnie gdyby zgasić światło, nagle wszystkie zaświeciłyby, wyszłyby na jaw jak dowody zbrodni. A najmocniej zapłonęłoby to miejsce między jej nogami. Na czerwono, jak latarnia w chińskiej dzielnicy.

– Słabo – odpowiedziała. – W sumie to myślę, że mógłbyś mnie zerznąć.

Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz umrę albo przynajmniej zwymiotuję. Miałem ją brać po tym, jak wzięli ją już ci inni? Czy to był jeden, czy było ich wielu? Jak to robili, gdzie? Na co patrzyła, kiedy jej to robili, o czym myślała? I jak ona może teraz mi to proponować – kiedy jest zbrukana, brudna, jest jak miejsce przestępstwa oklejone policyjną taśmą? Teraz mi mówi, żebym też ją miał? Miałem ją wziąć po tym, jak została mi już zabrana?

Jednak kiedy odwróciła się do mnie, znów

taka piękna – wróciło mi coś na kształt życia. Z drugiej strony czułem się tak, jakbym miał w oczach rentgen – zamiast niej widziałem tylko białą szczękę, która rusza ustami. Mimo wszystko nawet jako żywy trup miała nade mną władzę, bo kiedy tylko dotknęła mnie chłodną dłonią, byłem gotowy, twardy jak kamień. Zrzuciła sukienkę, całą resztę i odwróciła się do mnie tyłem; zrobiłem, co chciała. Znów to samo, jakbyś rznął kość. Tym właśnie była – zimną kością, którą mogłem przez chwilę potrzymać w dłoni. Moja żona z granitu i ebonitu, moja miłość – pomnik z marmuru. Miłość z pięści.



TO WSZYSTKO BYŁ JEJ POMYSŁ. Otworzyć związek, gorszej bzdury nie słyszałem, no może poza pomysłem, żeby znieść kapitalizm albo nie kupić mi pod choinkę konsoli. Ona jednak nalegała. Wydawało mi się to dziwne. Jakby zdradzała nasz odwieczny pakt. Dla mnie byliśmy jak dwa ziarna fasoli kiełkujące od lat w tym samym słoiku, puszczające pędy, oplatające się nawzajem. Nie kumałem, czemu chce nas przesadzić.

– Słyszałeś o tym całym Tinderze? – zapytała kiedyś.

– Słyszałem, pogańska apka! – zaśmiałem się. Myślałem, że jak zawsze napierdalamy się z dziwacznych zjawisk współczesności, pijąc wino z taniej bodegi. Albo inne, które ona wybrała. Wtedy nie było tanie.

– Niby dlaczego pogańska? – uśmiechnęła się znad kieliszka drogiego wina (to był wieczór jej wyboru). – Jak byś ewangelizował?

– Co? – zapytałem bezwiednie. Nie zawsze wiedziałem, o co jej chodzi. Tak samo jak w sumie nie wiedziałem, czemu mnie wy-

brała. Gdybyśmy mieli występować w spektaklu dla alkusów, ja grałbym wodę brzozową, a ona szampana Moët & Chandon. Byłem tańszym, dużo tańszym odpowiednikiem chłopaka, jakiego powinna mieć; byłem jej murzynem. Serio, czasem wydaje mi się, że przywiozła mnie tu statkiem, pod sam próg naszego wypaszonego mieszkania w dobrej dzielnicy, i lekko pomagając sobie wierzbową witką, zachęciła, bym wszedł do środka. „Czego tylko chce lady – pomyślałem. – Wszystko dla pięknej paniienki”. I wszedłem, dałem się jej złapać na lasso jak jakiś żałosny żrebak. Matka mi mówiła, że prawnicy potrafią mieć dar przekonywania. „Dobra z niej papuga” – powtarzała, oglądając sędzię Wesołowską. Dobra z niej papuga.

– No nic, nic, napij się. – Butelka z winem stała między nami jak kurwa zachęcająca do grzechu. – Rozluźnij się.

A kiedy wziąłem pierwszy łyk, dodała: – Bo zastanawiam się nad pewnym rozwiązaniem.

I powiedziała mi, nad jakim.

– Nie jestem do tego przekonany – odpowiedziałem powoli, jakby w starczym otępieniu.

– Nie bądź taki mieszczański – odparła i powoli upiła łyk wina. Popatrzyłem na nią ze zdumieniem. „Nie bądź taki mieszczański” – serio? Jakbyśmy wcale nie mieszkali w wyjebanym mieszkaniu od dewelopera, jakby mnie już ręka nie napierdalała od ciągłych zapasów z korkociągami, jakby mi te zaszrane premiery teatralne już bokiem nie wychodziły... Nie musieliśmy nawet robić sobie dziecka, co tydzień w teatrze wysłuchiwałem tak potępieńczych wrzasków, że potem długimi godzinami musiałem dochodzić do siebie podczas medytacji. Po ostatnim maratonie w kilku warszawskich teatrach zamówiłem sobie w internecie naręczce waleriany i poprosiłem żonę, by pozwoliła mi wyjechać na Vipassanę.

Tak, byliśmy kwintesencją mieszczaństwa, byliśmy jego pomnikiem. Powinni odlać nas w gipsie i postawić przed naszym budynkiem, tym sanktuarium klasy średniej. Byłyby do nas pielgrzymki, kolejka jak

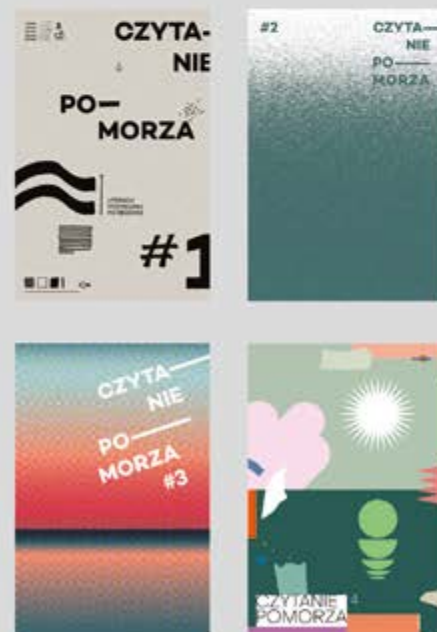
CZYTA- NIE PO— MORZA LITERACKI PRZEWODNIK PO REGIONIE

W roli przewodników m. in.:
Bunda, Chwin, Grzebałkowska,
Huelle, Janko, Łazarewicz

Spotkajmy się na szlaku!

Do nabycia:
www.nck.org.pl/sklep

Do każdego zamówienia
mapa „Literackie Pomorze
na weekend” gratis!



do Mony Lizy w Luwrze, sąsiedzi kontemplowaliby nas w milczeniu, płacząc ze wzruszenia przy obowiązkowym kieliszku wybor-
nego wina.

MILCZENIE PODOBNO OZNACZA zgodę. Kiedy wychodziła pierwszy raz, piłem tylko wino, spoglądając w dywan. Tak, mieliśmy dywan. Nie wiedziałem zresztą, o co w nim chodzi – co to, dywany nagle powróciły do łask? Nie czailem, jak można wydawać taką fortunę, roczny budżet jakiegoś afrykańskiego kra-
ju, na podłogę z trzech gatunków drewna, tylko po to, by zaraz ją niemal całkowicie zakryć dywanem. Kobiety pozostawały dla mnie tajemnicą.

Zapatrzyłem się więc w dywan, słuchając stukotu jej obcasów w przedpokoju; to było tak, jakby kawałek surowej wątróbki spadł na podłogę i o nią plasnął, zostawiając krwa-
wy ślad – z tym że ta wątróbka to był frag-
ment mnie. Słyszałem, jak zamykają się za nią drzwi; pomyślałem o całym mieście, które teraz otwiera się przed nią jak lunapark, o wszystkich miejscach, do których pójdzie, tych samych, w których mnie nie będzie, o wszystkich ludziach, których spotka i z któ-
rych żaden nie będzie mną, wreszcie, nie wiedzieć czemu, o pokazie sztucznych ogni rozbłyskujących na niebie, tak daleko, że mo-
głem usłyszeć tylko głuche wystrzały w od-
dali i zobaczyć blade światła, gasnące, zanim wykonam choćby jeden krok w ich kierunku.

TEGO WIECZORU po prostu się najebałem. Potem postanowiłem się z tym wszystkim zmierzyć. Wywiązać się z układu u. Zain-
stalowałem Tindera i umówiłem się z jedną panną. Wyglądała jak Iggy Pop.

– Gustujesz w crianzie? – zapytała na wstępie, gdy tylko usiedliśmy przy stoli-
ku w wybranym przez nią barze. Zbiło mnie to z tropu. Byłem pewny, że panna jej pokro-
ju rzuci coś w stylu: „Sztachnij się głęboko, bracie!”, dając mi crack.

Chwilowo nic nie powiedziałem, z tru-
dem przełknąłem ślinę – moje gardło wy-
sychało jak sawanna. Kiedy pochyliła się w moim kierunku, mogłem niestety zajrzeć jej w dekolt. Z całym szacunkiem, ale nie było to miejsce, które by się chciało oglądać. Coś jak wyjątkowo podły darkroom. W za-

głębień jej koszuli moim oczom ukazały się cycki. Twór sytuujący się gdzieś między jajami po wiedeńsku a nazbyt długo ściska-
nymi poduszczkami antystresowymi.

– Nie gustuję – powiedziałem powoli.
– Preferuję whisky – dodałem, by wbić się w odpowiednią narrację. Jej włosy wiły się wokół twarzy jak mityczne węże; miałem wrażenie, że widzę jej rozdwójony język raz po raz wysuwający się z ust i słyszę ciche syczenie. Przestraszyłem się. Chyba już cał-
kiem zwariowałem, bo żeby się poratować, zacząłem myśleć kategoriami biblijnymi. Czy gdybym ściął te włosy, odebrałbym jej siłę, czy wtedy straciłaby swe moce?

Zamówiłem sobie dwusetkę Jacka Daniel-
sa i piłem. Cóż jeszcze mogę powiedzieć? Piłem. Świat siedział za oknami jak wście-
kły pies.

– Czytałaś *Vernona Subutexa*? – zapyta-
łem. W zasadzie ona sama wyglądała jak au-
torka tej książki. Tylko gorzej.

– Przepraszam? – zapytała.

No tak. Już dawno powinienem szczić, że wystarczy rzucić coś o książkach, by zra-
zić do siebie współbraci, by czuć się wśród nich jak mason.

– Czy *Vernona Subutexa* czytałaś? Taką książkę.

– Veron? Przez V?

Przez kurwa, chuj i ja pierdołę.

– Przez V – odpowiedziałem. Rzeczy-
wiście byłem już z klasy średniej. Czuję swoją wyższość wobec tych, którzy nie zna-
ją odpowiednich lektur. Ich lista była wszak tak oczywista. Tak oczywista, że zamiast „li-
sty lektur do szkoły średniej” powinni zrobić „listę lektur dla kasy średniej”. Rozważałem, czy by się nad nią nie popastwić i nie przepya-
tać jej z Houellebecq, który stanowił na tej liście odpowiednik *Pana Tadeusza*.

Patrzyła na mnie, ewidentnie chciała coś powiedzieć. Patrzyła na mnie, jakby chciała zabić mi ćwieka. Byłem pewien, że jeszcze chwila, a detalicznie przedstawi mi opisy przyrody z *Nad Niemnem*.

– Mam dużą pochwę – powiedziała. – Sor-
ry, ale wolę być szczerą. Jest po prostu duża. Jakby wejście do namiotu rozchylić obie-
ma rękami. W środku jest jak obręcz, przez którą w cyrku skaczą niedźwiedzie. Można zmieścić tam pięść. Można upchnąć w niej wszystkie zbierane od dzieciństwa świętecz-
ne podarki.

Kup książkę

Zastanawiałem się, czy naprawdę to powiedziała. A jeśli tak, to czy widzi, że usta bezwiednie otwierają mi się ze zdumienia, a moja dolna warga szoruje już chyba o kant stołu.

– Myślę, że można się w niej zagubić jak na rosyjskim stepie. Wejdiesz i będziesz szedł godzinami, coraz bardziej samotny; mały, czarny punkcik w taidze. Chwilami się zastanawiam, czy zesłańcy na pewno ginęli wśród tego bezkresnego śniegu, może oni po prostu wchodzili we mnie i tam bładzili, aż zaczynało brakować im powietrza. Ciekawe, ile żyje we mnie szkieletów. Czasem wydaje mi się, że jestem zbiorową mogiłą – gdybym zaczęła przeć, wypadłby ze mnie stos szkielecików, maleńkich jak breloczki. Czy wiesz, że była taka tortura – wpuszczali ci szczura do pochwy? Może zresztą to była pieszczoła; w każdym razie wydaje mi się, że mnie nie dałoby się w ten sposób ani pieścić, ani torturować; nie ma stada szczurów tak liczebnego, żeby się go nie dało puścić moim szlakiem; ich coraz to liczniejsze zastępy mknęłyby przeze mnie wciąż od nowa i od nowa, długie ogony oplatałyby mnie od wewnątrz, łapały jak na lasso.

— NIE BYŁEM PEWNY, czy naprawdę to mówi, czy tylko mi się to śni. Przez chwilę widziałem siebie rzeczywiście spacerującego szlakiem jej ciała, zagłębiałem się dalej i dalej w miękką, ciemnoczerwoną masę jej wnętrzości; było gorąco i wilgotno jak w afrykańskiej dżungli. Zapadałem się w jej wątrobę jak w wielki, bordowy fotel.

Ocknąłem się po chwili, próbując znów jej słuchać, ale mój wzrok raz po raz wędrował w kierunku baru. Obserwowałem czerwone, sztuczne ryby obijające się o siebie w szklanej kuli umieszczonej na blacie. Napierdały się nosami jak zawodnicy w jakiejś dziwnej konkurencji. Wydawało mi się, że zawieszony ponad barem ledowy sznur syczy na wysokim spięciu, trzaska, oświetlając twarz barmanki, chorobliwie bładą, jakby unurzana w kwasie. Było jakieś sześć tygodni do końca roku, zacząłem podejrzewać, że nie do końca roku, a świata.

Rozejrzałem się wkoło – twarze klientów tego przybytku były jak kule świetlne na łańcuchu choinkowym, każda lewa, gasnąca, wypalona. Jedna kula, ta z lewej, męska, od-

wróciła się do mnie i spojrzała z politowaniem, a potem zaśmiała głośno, chrapliwie, dotując mojego drinka wieloma kroplami śliny. Odwróciłem głowę w kierunku swojej szklanki, mechanicznie, powoli, jakbym dokonywał urzędowych oględzin. Zapatrzyłem się w przezroczyste ściany, w wypełnia-



jący ją płyn, w którym, jak sądzę, pływały pierwotniaki, bakterie, brudne DNA faceta dryfowało przez szklankę jak topielec. Po chwili, dłużej jak wąż strażacki, odwróciłem się w jego stronę i przyjrzałem mu się. Gość wyglądał jak fabrycznie opluty. Pomyślałem, że dla dopełnienia całości obrazu powinienem go kopnąć, pociąć żyłką. Powinienem go zabić. Może rozruszałoby to ten drętwy bar, dodałoby mu splendoru. Tak samo jak dodawała go zaszracona cianka, którą połykała moja koleżanka, stara kurwa z czarnym łonem, z łonem jak piekło – wielkim, gorącym, płonącym w wiecznym niezaspokojeniu. One wszystkie są takie same

– baby w okolicach czterdziestki, które zioną smutkiem i desperacją; chodzą po mieście w poszukiwaniu choćby skrawka uczucia, uczucia wielkości łaty na ubraniu, bo same szukają łaty, którą by mogły zacerować tę dziurę w sobie.

— POPATRZYŁEM NA KOBIECY odpowiednik Iggy'ego Popa. Miałem wrażenie, że łono tej panny się na mnie otwiera jak wielka, mokra łapa, jej łono kłapie jak głowa Pac-Mana, chce mnie pośiąść, zawłasczyć, chce mnie wchłonąć.

– Muszę iść do kibla – powiedziałem, chyba trochę spocony, i wstałem od stolika. Wlałem do toalety, zatrasnąłem za sobą drzwi i głęboko odetchnąłem.

Pomyślałem o swojej żonie, która też dziś miała wychodne. Wyobraziłem sobie, jak stoi na balkonie, na samym szczycie tego miasta, a z tyłu powoli zachodzą ją hordy mężczyzn w czarnych maskach na twarzy. W maskach psów, byków, bawołów. Wyobraziłem sobie, jak się śmieje, coraz głośniejsze i głośniejsze, otwierając coraz szerzej usta, przez które wylatuje z niej nagle stado rozjuszonych, brzęczących owadów.

Potem wyszedłem z kibla, chyłkiem wymknąłem się z baru i nocnym, obcym miastem wróciłem do domu, którego już nie miałem.



POEZJA

WIERZCHOŁEK NIEDOSIĘGŁY ŚWIĘTEJ GÓRY SYZYF

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

—

znowu
mówi pasek
utonęli ludzie

jak gdyby byli to zawsze ci sami

niezmordowanie się rodzą
i toną

rodzą się
i toną

latem
mówi prasa
będzie szczyt utonięć

czy mają pamięć poprzednich
katastrof
czy jest to dla nich
wciąż nowa przygoda

JAROSŁAW
MIKOŁAJEWSKI

(ur. 1960), poeta, pisarz i tłumacz z języka włoskiego.
Jest również autorem książek dla dzieci, eseistą i publicystą.

[Kup książkę](#)

Jagoda szuka rodziny

tekst ŁUKASZ PILIP



„JAGODA, LAT DZIESIĘĆ, POTRZEBUJE DOMU. Ma zespół Downa. Mówi. Biologiczna rodzina zrzekła się praw do niej. Jeśli nie znajdzie się nowa, czeka ją DPS. Prosimy o kontakt pod numerami, które zostawiamy poniżej.”
Tak mniej więcej brzmiało ogłoszenie w sieci.

Październik zeszłego roku. Natalia właśnie wychodziła z muzeum w Białymstoku-Białej. Obok dreptały dzieci, które zabrała na wycieczkę szkolną. Nagle telefon.

– Zła wiadomość. Rozwiązała się rodzina zastępcza Jagody. Musimy kogoś dla niej znaleźć. Inaczej trafi do pogotowia opiekuńczego. Może pani by ją wzięła? Przynajmniej na razie – prosił pracownik miejskiego ośrodka pomocy rodzinie (MOPR).

– Eee, rozumiem. Ale, no, nie jestem sama. Mam małą córkę i męża. Muszę zapytać go o zgodę. Za chwilę oddzwonię.

Zanim wybrała do niego numer, pomyślała: „Ludzie podejmują decyzję o dziecku w ciągu kilku lat. Ja w pół minuty”.

A już wszystko sobie poukładała.

Przed wszystkim wreszcie pogodziła swój grafik. Dla pedagoga specjalnego i tyflop pedagoga, czyli terapeuty wzroku, to wcale nie jest proste. Z powodu braku podobnych fachowców miała zawsze więcej pracy

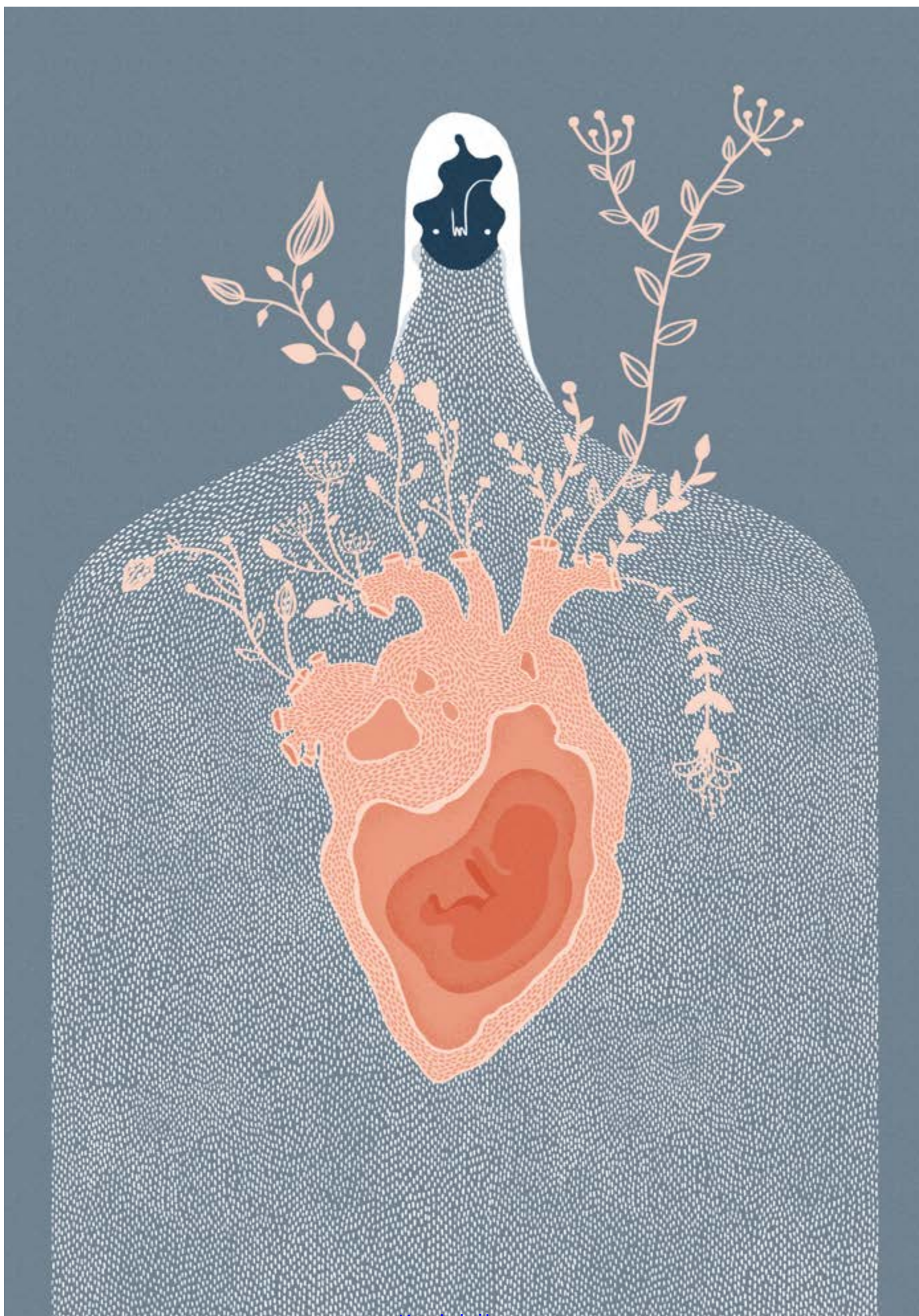
niż czasu. Wyrabiała niemal dwa etaty. Po co? Bo pękłoby jej serce, gdyby zostawiła bez pomocy słabowidzących albo niewidomych podopiecznych. No i ich rodziców. Dlatego w poniedziałek zasuwała od ósmej do siedemnastej w szkole integracyjnej dla dzieci o specjalnych potrzebach. Dwie, trzy prześiadki (nie ma prawa jazdy) i za godzinę w domu. We wtorek kończyła w okolicach południa. Od razu biegła do przedszkola po Oliwię, czteroletnią córkę. Chwila w mieszkaniu. I siup z dzieckiem do logopedy. Kończyły o siedemnastej. Środa? Zawalona. Do czternastej szkoła, dom, pół godziny z mężem i druga praca. Tym razem w ośrodku terapeutycznym dla dzieci z niepełnosprawnościami. Jej działka – oczy. Zaczęła się nimi zajmować, kiedy jeszcze pracowała w domu dziecka. Spotkała tam chłopca. Sprzężony, to znaczy z więcej niż jedną niepełnosprawnością. Nie widział ani nie słyszał. Nie umiała się z nim dogadać, co potraktowała jak motywację. Poszła

na studia podyplomowe z tyflop pedagogiki, które zasponsorowała jej mama. Nauczyła się tam migać. Migi jednak nie przydały się przy niewidzącym podopiecznym. Komunikowali się ruchem. Obiad? Wkładała mu łyżkę do ręki. Zauważyła przy okazji, że reagował na wibracje. Szczególnie lubił te pochodzące z radia. Z koleżankami zrobiła mu test: przeskakiwały po różnych stacjach i obserwowały jego reakcję. Przy Radiu Maryja tłukł pięścią w stół. A przy klasyce się wyciszał.

Potem, gdy przeszła do ośrodka terapeutycznego, wiedziała już, jak pracować z oczami. Najpierw uczyła życia. Czyli kształtów. Dawała podopiecznym do dotykania rzeczy chropowate, śliskie, pomarszczone. Następnie pokazywała, jak poruszać się przy ścianie. Ostatni etap? Laska. Współczuła rodzicom. Przychodzili z dwumiesięcznymi maluchami i ze łzami w oczach, bo lekarze załatwiali ich jednym zdaniem: „Dziecko widzieć nie będzie”. Takie przypadki były najtrudniejsze: ona badała, matka płakała, a dziecko, które wyczuwało niepokój rodzica, wierciło się. I po diagnozie.

Czwartek? To spokojny dzień. Już o piętnastej meldowała się w domu. W piątek połowę dnia spędzała w szkole, połowę w ośrodku. Ostatni pacjenci wychodzili o dwudziestej. Kolejnych miała w sobotę. Ale tylko do obiadu. Niedziela: wolne.

[Kup książkę](#)



Był jeszcze inny powód, dla którego tyle harowała. W lipcu 2018 roku Michał, jej mąż, zachorował ponownie na raka. Miał trzydzieści cztery lata (o cztery więcej niż ona). Z powodu przerzutu przeszedł chemię, operację, domowy szpital. Żyli wtedy z oszczędności i jej pensji. Odetchnęli dopiero, gdy po kilku miesiącach wrócił do warsztatu samochodowego. Wrócił też do ryb. I to z ich czteroletnią córką. W maju tamtego roku zaczął zabierać ją na dwudniowe zasadzki. Oliwię wciągnęły robale, ryby, biwakowanie. Nie mogła się doczekać, aż tata weźmie z balkonu przynęty i zarządzi wyjazd. Nad wodą spali pod namiotem. Obok rozstawiali się koledzy Michała. Na widok dziewczynki kręcącej kołowrotkiem mówili z zazdrością: „Chcielibyśmy taką”.

Czterolatka miała dryg nie tylko do wędkowania. Uwielbiała wieś, gdzie mieszkali dziadkowie. – Tam dopiero wychodziła z niej prawdziwa Marycha – wspomina jej matka. – Bo Marysia miała na drugie, po prababci. – Latała więc po polach, ganiała krowy, skakała bosko po zabłoconym podwórku. Najchętniej chodziła po jajka do kurnika. A gdy wracała do rodzinnego domu, to również do zwierząt. Miała w nim rocznego boksera Safire oraz koty: Kleosia i Kicię.

– Tylko że nagle zadzwonili z MOPR-u. I koniec sielanki – podsumowuje Natalia.

MICHAŁ LEŻAŁ NA KANAPIE. Akurat oglądał mecz, gdy nagle zabręczała komórka.

– Słuuuchaaaaj – zaczęła jego żona, wydłużając z nerwów litery – przed chwilą dostałam telefon w sprawie Jagódki. Pytali, czy ją weźmiemy. Jeśli nie, trafi do pogotowia.

– Trzeba pomóc.

I tyle. Rozłączyli się, a ona natychmiast przekreśliła do MOPR-u i potwierdziła. Do domu zjechała kilka dni później. W niedzielę. Michał powitał ją słowami: – Nata, sam siebie zaskoczyłem. – Też była w szoku. Spodziewała się odmowy, bo mąż raczej stronił od dzieci z większą niepełnosprawnością. A przecież Jagoda, na którą się zgodzili, miała zespół Downa.

DLACZEGO NATALIA? Znała dziewczynkę od urodzenia. Opiekowała się nią w domu dziecka, w którym pracowała przed szkołą i ośrodkiem terapeutycznym. Z początku była wolontariuszką. Nie lubiła łatwych przypadków, więc dostała dwie dziewczynki. Jedną ze związku kazirodczego, drugą z zaburzeniami więzi. Przywiązała się do pierwszej z nich. A to oznaczało codzienne wizyty (nawet po uczelni), przyciskanie do piersi, zabieranie do szpitala. I wątpliwości.

– Mogę dalej brać ją na ręce? Przytulać? Co, jak się przywiąże? – radziła się bardziej doświadczonych koleżanek.

Szczególnie bali się języka. Że co kilka sekund Jagoda będzie go wysuwać. Wydawał im się zbyt duży i długi. Przebąkiwali nawet coś o operacjach ukrywających niepełnosprawność. Ale odpuścili.

– Musi to zrobić. Inaczej się nie rozwinie. Więc ją pokochała. A kiedy już to zrobiła, po dziewczynkę zgłosili się kandydaci do adopcji. Ich pierwsze spotkanie nie wypaliło. Mała płakała. Przestała dopiero na widok Natalii. Na kolejne widzenie wolontariuszka nie poszła. Wycofała się, o co zresztą prosili rodzice. Gdy wreszcie zabrali dziecko, sama się rozplakała. – Ktoś powie: wariatka, ryczała za obcym maluchem. Ale to były łyzy szczęścia i tęsknoty – tłumaczy.

Po dwóch latach dyrekcja zatrudniła ją jako wychowawczynię „jedyńki”. Czyli dzieci najmłodszych i z największą niepełnosprawnością. Miała wsparcie pielęgniarki. Zostawała nawet na nocki. Jedną zapamiętała szczególnie. Sprawdziała akurat, czy wszyscy zasnęli. Zatrzymała się przy chłopcu, który coś szeptał z zamkniętymi oczami. Nachyliła się, a on: „Mama, mama, mama”. Ścisnęła jej gardło. Bo wychowanek matki nigdy nie widział.

Jagoda raczej też nie miała kontaktu ze swoją matką. Urodziła się, a po dwóch

tygodniach wylądowała w placówce Natalii. Jak większość noworodków – przywiozła ją karetka. Rodzina, czyli ojciec i dziadkowie, zjawiła się chwilę później. Matka? Nie. Mąż tłumaczył, że to przez depresję poporodową. Że lekarze nie uprzedzili o zespole Downa. Nie mogła się z tym pogodzić. I postanowili ją oddać. Wychowawczynie nie potępiały ich decyzji. Przerabiały takie historie. W niektórych rodzice godzili się z niepełnosprawnością dziecka i po czasie zabierali je do domu. Tu finał wydawał się podobny.

Malutka? Szybko przywykła. – Rozpieszczała ją moja koleżanka. Wyrastała nam na precudną panienkę – precyzuje Natalia. Tylko że z dodatkowym chromosomem. Pracownicy domu dziecka odetchnęli, bo nie miała wady serca, która lubi towarzyszyć zespołowi Downa. Przypuszczali jednak, że borykała się z traumą odrzucenia. Może dlatego tak lubiła być noszona na rękach?

Jej ojciec wyglądał na zatroskanego. O nią, ale i o żonę. Przyjeżdżał niemal co dzień. Głównie popołudniami. Gdy nie mógł, zastępowali go dziadkowie. Zagadywali wychowawczynie, czy już widać. A one nie odpowiadały, bo nie rozumiały pytania. Dopiero zaciekała się Natalia.

– Ale co ma być widać?

– Że wnuczka choruje.

– Zespół Downa to nie choroba.

Szczególnie bali się języka. Że co kilka sekund Jagoda będzie go wysuwać. Wydawał im się zbyt duży i długi. Przebąkiwali nawet coś o operacjach ukrywających niepełnosprawność. Ale odpuścili.

Przełom nastąpił po pięciu latach. Placówka miała taki zwyczaj, że jedna z wychowawczyń brała konkretnego wychowanka i wyjeżdżała z nim na wycieczkę. Dla zacieśnienia więzi. Natalia wzięła Jagodę. Skoczyły w góry, a po powrocie nieoczekiwanie uaktywniła się rodzina dziewczynki. Ojciec urlopował ją, bo tak oficjalnie nazywa się zabranie dziecka z placówki do domu biologicznych rodziców, pierwszy raz w życiu. „Kurczę, wreszcie się ruszyło!” – ucieszyła się wychowawczyni.

Na krótko. Natalia poszła na okresowy zespół do spraw dziecka. Tworzyli go wszyscy, którzy pracowali z Jagodą. Nauczyciele, wychowawczynie, MOPR i rodzina. Na spotkaniu ojciec wyciągnął niespodziankę: album ze zdjęciami. A na nich córka bawia-

ca się w DPS-ie, domu pomocy społecznej. Zdębieli. Bo przypuszczali, że zabierał ją do domu.

Ona jest szczęśliwa, zapewniał. Przecież i tak tam trafi. Chciał, żeby się przygotowywała.

Dyrekcji nie przekonał. Postawiła warunek: rodzina, jeśli chce, musi sama wystąpić o DPS. Odezwała się jeszcze Janina Kot, pracownica pieczy zastępczej w MOPR-ze. Ogłosiła, że znajdzie dziewczynce rodzinę zastępczą. I dotrzymała słowa. Rodzice biologiczni rzekli się opieki nad nią. Wzięła ją para, która zajmowała się podobnymi dziećmi. Jagódka prędko nazwała ich „tatą” i „mamą”. Ale jak w każdą taką rodzinę, tak i w tę wpisana jest tymczasowość. Po pięciu latach dostali kolejnych wychowanków. Zbyt trudnych. Rozwiązali pieczę.

– Nie oceniam. Ich prawo – stwierdza Natalia. – Martwiłam się tylko, że po raz trzeci Jagoda straciła rodzinę. Biologiczną, z placówki, a teraz zastępczą. I może powiem coś naiwnego, ale po telefonie od MOPR-u uświadomiłam sobie jedną rzecz. Że jestem kropeczką w jej życiu, do której zawsze będzie wracać.

—
RODZINĄ ZASTĘPCZĄ została w tydzień.

Wtorek: odebrała telefon od urzędników.

Niedziela: wróciła z gór.

Poniedziałek: przyjechało nowe dziecko.

Zanim do tego doszło, zdążyła przygotować domowników. Głównie czteroletnią córkę. W laptopie pokazała jej zdjęcie Jagody i wyjaśniła: – Ona nie ma taty i mamy. Trochę u nas pomieszka.

Rodzina zastępcza przywiozła ją nazajutrz. Koło dwudziestej zaparkowali pod klatką. Z auta wysiadł ojciec, jego biologiczna córka i wtulająca się w nią Jagoda. Gdy Natalia do niej podeszła, usłyszała: „Boę se”. „Niunia, nie ma czego. Ciocia jest z tobą”. Ojciec zastępczy nie chciał przeciągać. Ze łzami w oczach wsiadł za kierownicę.

Natalia wzięła jej rzeczy i pomaszerowała na górę. W drzwiach powitała jej Safi. Niby szczeniak, ale niemal przerastała Jagódkę. Kręciła się, tukała po ścianach ogonem, skakała. Nawet posikała się ze szczęścia. Michał? Cisza. W przedpokoju jednak zaraz zrobił się rwetes. Wpadła Oliwka. Dziewczyny dzieliło sześć lat różnicy. Z kolei łączyły

je problemy logopedyczne. Że mówiły niewyraźnie? Żadna przeszkoda. Poszły do pokoju, usiadły do malowania, zaczęły rozmawiać. Nikt nie rozumiał o czym.

W okolicach dwudziestej drugiej – kąpiel i spanie. Natalia zaczęła od Jagody. Nie zdążyła wiele zrobić. Do łóżka starszej dziewczynki wpakowała się Oliwka. Objęła ją i czuwała, dopóki ta nie zasnęła. Matka wzruszyła się. Żeby ośwoić Jagodę z nowym życiem, wzięła trzy dni urlopu. Uczyła ją zasad domu. Spacer? Tylko za rękę. Przecież jednocześnie wyprowadzała dzieci i psa. Łątwo o zamieszanie w takiej gromadzie. Dlatego smycz w jednym ręku. W drugiej dłoń Oliwii. A obok Jagoda trzymająca się sznurka. Plan jednak nie wypalił. Dziesięciolatka zaczęła uciekać. Szli przez osiedle, a ona ciał na drugą stronę ulicy. Nawet nie oglądała się na samochody. Natalia, mimo bólu kolana, utykała za nią.

– Czekaj. Nie w tę stronę! Ciocia się boi.

– Okej. We pestań – stawiała i unosiła się dumą.



„To nie była zwykła ucieczka” – pomyślała matka zastępcza – pewnie chciała wybiegać przeszłość. Albo obecne problemy”.

Rzeczywiście, na spacerach wyłaziły jej łęki. Płakała na dźwięk koguta karetki. Przeraziła ją ciemność. Dopiero po tygodniu nieco opanowała chodzenie ze sznurkiem. Wtedy przyszedł czas na zasadę drugą. Czyli tramwaje i autobusy. Poprzednia rodzina jeździła autem. Obecna – komunikacją miejską. Dla dziewczynki z zespołem Downa to

poważny problem. Z powodu słabego napięcia mięśni nie mogła ustać. Wytrzymała góra dwadzieścia minut. Potem kucała wśród nóg dorosłych.

– Nie widzi pan! – wybuchała czasem w autobusach Natalia. – Wisi nad panem naklejka. Miejsce dla matki z dzieckiem. A ja mam dwoje.

Niektórzy się opamiętywali. Inni prykali, odwracając głowy.

Zasada trzecia: zwierzaki. Jagoda je kochała. Ale nie wiedziała, jak tę miłość okazać. Kota Kleosia łąpała zbyt mocno. Albo uciekał, albo drapał. Kicia też przeżyła swoje. Podczas zabawy wyładowała na ścianie. Kiedy indziej pod prysznice. Całe szczęście, że Jagódka nie odkręciła wody. Na koniec przerzuciła się na szczypanie uszu Safi. Przestała, bo Natalia zademonstrowała, jak głaskać zwierzaki. Od tej pory, podczas zabawy z nimi, gładziła je i wołała: „Mama, ja gasam”.

Właśnie, mama. Przez to słowo powstała zasada numer cztery. Z początku Natalia gubiła się, kim jest. Matką? Ciotką? Miała wrażenie, że Jagoda sama szukała najodpowiedniejszego określenia. Dlatego wołała jej niczego nie sugerować. A ojciec zastępczy? Dziewczynka nazywała go wujkiem. Tatą? Rzadziej. Jednak gdy pierwszy raz zwróciła się do niego w ten sposób, aż pobladł. – Wystarczy Michał – poprosił.

Oliwii też się pogmatwało. Czasem mówiła do ojca po imieniu. A podczas jednej z zabaw z Jagodą, wypaliła zdenerwowana: „To nie tój tata. Ani toja mama!”. Zaraz doskoczyła do nich Natalia: „Na razie mama jest wspólna. Dzielimy się”.

A potem głowiła się, jak im wyjaśnić, że przyjęła Jagodę na sześć miesięcy.

—
„JAGODA, LAT DZIESIĘĆ, potrzebuje domu. Ma zespół Downa. Mówi. Biologiczna rodzina rzekła się praw do niej. Jeśli nie znajdzie się nowa, czeka ją DPS. Prosimy o kontakt pod numerami, które zostawiamy poniżej”.

Tak mniej więcej brzmiało ogłoszenie w sieci. Umieścił je MOPR. Po to, żeby jak najszybciej odciążać Natalię. I znaleźć dziewczynce dom.

– Szokuje pana, że szukamy go przez internet? Znak naszych czasów. Proszę zauważyć, że dzięki niemu również i pan dowiedział się o Jagodzie. Od piętnastu lat prowadzimy podobne